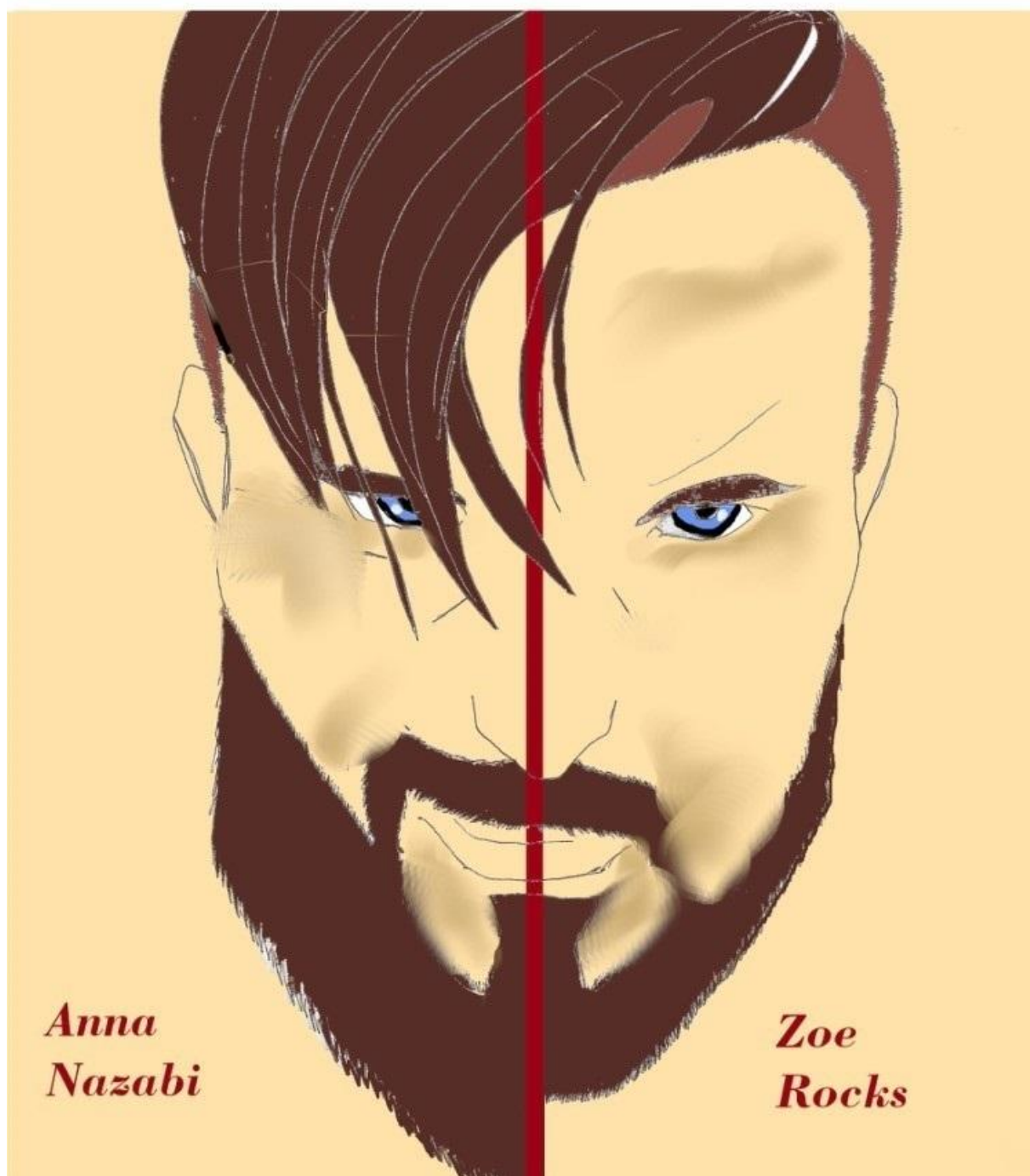


LUDY WEDONU
Wysłannik Arghora



***Anna
Nazabi***

***Zoe
Rocks***

ANNA NAZABI

ZOE ROCKS

CYKL LUDY WEDONU - CZĘŚĆ I
WYŚLANNIK ARGHORA

© Copyright by Anna Nazabi i Zoe Rocks
Projekt okładki Anna Nazabi i Zoe Rocks

ISBN e-book 978-83-8166-134-8

*WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.
ROZPOWSZECHNIANIE BĄDŹ KOPIOWANIE CAŁOŚCI LUB CZĘŚCI PUBLIKACJI
ZABRONIONE BEZ PISEMNEJ ZGODY AUTORA.*

*KSIĄŻKA JEST FIKCJĄ LITERACKĄ.
WSZELKIE PODOBIENSTWA DO OSÓB I ZDARZEŃ RZECZYWISTYCH SĄ PRZYPADKOWE.*

SPIS TREŚCI

PROLOG	4
ROZDZIAŁ I	11
1.....	11
2.....	20
3.....	26
4.....	30
5.....	35
6.....	49
ROZDZIAŁ II.....	58
1.....	58
2.....	61
3.....	65
4.....	69
5.....	72
6.....	78
ROZDZIAŁ III	81
ROZDZIAŁ IV	86
1.....	86
2.....	90
ROZDZIAŁ V.....	99
ROZDZIAŁ VI	113
1.....	113
2.....	116
3.....	127
ROZDZIAŁ VII.....	135
1.....	135
2.....	145
3.....	158
4.....	172
5.....	177

ROZDZIAŁ VIII	191
1.....	191
2.....	195
3.....	200
4.....	207
ROZDZIAŁ IX.....	211
1.....	211
2.....	213
3.....	215
4.....	220
ROZDZIAŁ X.....	235
1.....	235
2.....	240
3.....	245
ROZDZIAŁ XI.....	256

PROLOG

1982 rok

— Kochanie, zbudź się ...

Zacisnął powieki i odwrócił się na drugi bok, z nadzieją, że nerwowy szept był tylko sennym bełkotem.

— Ernest, obudź się! — Uderzyła go w ramię, wpijając paznokcie w napiętą skórę. Lubił w sypialni odrobinę pikanterii, ale nie w środku nocy, gdy tak dobrze mu się spało.

— Co się stało?

— Miałam okropny koszmar ...

Powieki ciążyły mu jak ołowiane odważniki.

— Ernest? — Ponownie go walnęła. — Ernest! — Zapaliła światło, przysiadając okrakiem na jego ciele, opatulonym wełnianą pościelą. Ciężowy brzuch ważył już całkiem sporo.

— Gnieciesz mi flaki.

— I dobrze. Miałam okropny koszmar i muszę się wyzalić.

Ciąża Barbary nie przebiegała książkowo i daleko jej było do stanu błogosławionego, opiewanego przez inne kobiety. Przestała dobrze sypiać, przez co całymi dniami słała się na nogach.

— Śniło mi się, że spałam w naszym łóżku, w tym pokoju ... Ernest, słuchasz mnie?

— Mhm.

— Poczułam przejmujący chłód, a gdy tylko otworzyłam oczy, zobaczyłam pysk wielkiej poczwary z łbem obrośniętym gęstwiną kłaków. Krzyk zamarł mi w gardle, nie mogłam złapać oddechu. Wiedziałam, że śpisz obok mnie, ale ... Ernest? Ernest, słuchasz mnie do jasnej cholery?

Musiał pochrapywać, gdyż znowu go walnęła. Dla oszczędzenia ręki, podciągnął się do pozycji siedzącej i objął ją ramieniem.

— Już cię słucham, mów.

— Zaczynasz mnie wkurzać.

— No dalej, kochanie.

— Wiedziałam, że śpisz obok mnie, ale nie mogłam cię obudzić. Byłam sparalizowana. Patrzyłam tylko na potwora, na kościste łapy, długie szpony, pęciny i kopyta. Cały powleczoney był żylastą skórą, a za wychudzonym zadem podrygiwał cienki ogon.

— Czyżby sam czort złożył ci wizytę?

— Ernest!

— Nic dziwnego, jesteś piekielnie ponętna.

Basia wymierzyła mu słabego kuksańca, z trudem utrzymując poważny wyraz twarzy.

— Nie żartuj ze mnie, to poważna sprawa. Wciąż jestem rozdygotana.

— To tylko koszmar. — Przyłożył dłoń do jej piersi, czując pośpieszne bicie serca.

— Posłuchaj do końca, jeszcze nie skończyłam.

Westchnął ciężko, składając brodę na jej ramieniu.

— Stwór przewiercał mnie na wskroś czarnymi ślepiami, jakby chciał mnie wciągnąć w głąb samego piekła. Ciężką łapą dotknął brzucha, powodując skurcze i... — Przytulił ją, gdy głos jej zadrżał. — Tak bardzo bałam się o dziecko. Przed oczami miałam wizję rozszarpanego niemowlęcia.

— To tylko koszmar — zapewnił z irytacją. Nie akceptował myśli o żadnym niebezpieczeństwie grożącym jego rodzinie. — Dziecko najwyraźniej wyostrzyło ci wyobraźnię. — Uśmiechnął się pokrępiająco i pogłaskał ją po rudych włosach. — Wracaj do snu, wszystko będzie dobrze.

Jego słowa okazały się jednak pobożnym życzeniem.

Zwątpienie dało o sobie znać o świcie, gdy dostrzegł grudki ziemi na dywanie i wyświechtanym parkiecie. Skontrolował mieszkanie, nie spuszczać oczu ze śpiącej Barbary. Wyglądała tak bezbrinnie z palcami zaborczo zaciśniętymi na wydatnym brzuchu.

Zaparzył kawę i spróbował zebrać myśli, jednak półgodzinne dywagacje na niewiele się zdały. W pierwszej kolejności wykluczył wizytę zbirów z konkurencji. Gdyby któryś chciał nastraszyć, pozostawiłby po sobie stosowną adnotację, aby Zakrzewski wiedział, co go czeka i kto z miłą chęcią spuści mu manto. Bardziej prawdopodobne wydawało się lunatykowanie Baśki, które mogło mieć związek z chronicznymi koszmarami. Takie wyjaśnienie współgrało z brakiem śladów włamania, ale klóciło się z czystą pościelą, kapciami i stopami żony. Sfrustrowany wysilał mózgownicę, dopóki kwestia tajemniczych śladów nie rozwiązała się sama.

Intruz pojawił się znikąd. Jego przybycie zasygnalizowała jedynie gęstniejąca atmosfera zagrożenia. Siedział na kanapie z lewą ręką opartą na masywnym udzie, prawą zaciśniętą wokół długiego harpuna. Potężny, co najmniej dwumetrowy, miał na sobie mundur, szeroki pas z sakwami i wysokie skórzane buty. Jego głowę skrywał głęboki kaptur, a twarz do wysokości oczu maska z czarnej tkaniny. Przypominał lekkobrojnego wojownika, żywcem wyjętego z powieści przygodowych.

Poczucie bezpieczeństwa we własnym domu, runęło niczym domek z kart i dopiero po dłuższej chwili Ernest doznał otrzeźwienia. Chwycił nóż kuchenny i wrócił do salonu, mierząc ostrzem w nieruchomą postać.

— Kim jesteś i czego chcesz!/? — Stał w odległości umożliwiającej taktyczny odwrót, gdyż ewidentna dysproporcja sił nie przemawiała na jego korzyść. Intruz odpowiedział w niezrozumiałym języku, głosem zniekształconym przez grubą materię maski.

— Nie rozumiem ani słowa. Wynoś się z mojego mieszkania albo zadzwonię na milicję!

Obcy zerwał się z impetem czołgu, taranując wszystko, co stało mu na drodze. Zablockował przedramieniem cios Zakrzewskiego, po czym uderzył go w twarz i pchnął na ścianę, nieomal krusząc potylicę. Żadna przebyta w młodości potyczka, nie przygotowała Ernesta na tak silnego przeciwnika. Ciosy intruza były dewastujące i po każdym odrobina gruntu osuwała mu się spod nóg. Agresor chwycił go w żelazny uścisk i cisnął przez długość przedpokoju, na dłuższą chwilę pozbawiając woli walki.

Leżał, obserwując, jak wróg wyszarpuje Baškę na korytarz. Dzwoniło mu w uszach, a sylwetka intruza stała się mglista i niewyraźna. Tylko wrzask ukochanej kobiety zmotywował go do działania. Mimo plam przed oczami i świdrującego bólu czaszki dźwignął się na roztrzęsionych nogach, upatrując swojej szansy w osłabionej czujności agresora. Intruz nie oglądał się za siebie, zaciskając palce na podbródku Barbary. Kobieta wyrwała się i stawiała opór, wyzwalając w Erneście nowe pokłady siły. Miał o co walczyć i póki serce biło w piersi, zamierzał atakować z całą zajadłością. *Ten dziwoląg, ten bydlak miał czelność wtargnąć do jego domu!* Chwycił nóż, który opuścił wcześniej i natarł na śmiertelnego wroga. — Uciekaj! — Wbił ostrze w plecy przeciwnika, który odwrócił się gwałtownie, sięgając łapą rany. — Zamknij się w łazience!

Basia pospiesznie wykonała polecenie, podczas gdy intruz wyprostował się i zamachnął w stronę Ernesta. Pod wpływem adrenaliny, Zakrzewski nie tracił już rezonu. Wskoczył na plecy giganta, zaciskając ramiona na masywnej szyi. Był pewien, że ciosy wroga złamały mu przynajmniej jedno żebro, lecz ból był niczym, w obliczu narastającej wściekłości. Zaciskał duszącą obręcz, dopóki intruz nie zatoczył się, tracąc grunt pod nogami. Gdy tylko padli na ziemię, Zakrzewski doczołgał się do trzymanej w szufladzie broni.

W mieszkaniu zabrzmiał huk wystrzału, który powtórzył się, gdyż Ernest nie potrafił wycelować. Ręce mu drżały, a obraz zniekształcały mgliste mazy przed oczami. Udało mu się jednak przedziurawić brzuch intruza, powstrzymując go przed zadaniem ostatecznego ciosu. Tego uderzenia Ernest by nie przeżył.

— *In hua an en!* — Intruz opadł na kolana. — *Arghor, ason...*

Masywne ciało uderzyło o podłogę, barwiąc posoką wyświechtany dywanik. Gdy znieruchomiało, Ernest pozwolił sobie na moment odprężenia. Był nieprzytomny ponad pół godziny, dopóki nie otrzeźwił go dotyk i lament Barbary. Dla niej ponownie poczuł ból.

— O Boże, Ernest! Tak się bałam! — Przytuliła go do piersi, kołysząc w ramionach. — Myślałam, że już po tobie!

Jej rozpacz nie była w stanie przegnać czarnych wizji, które zaatakowały jego roztrzęsiony umysł. Spodziewał się rychłego walenia w drzwi i odgłosu syren, ale słyszał jedynie swój charczący oddech.

— Ktoś mógł wezwać... — Ledwie mówił, czując pulsowanie w żuchwie. Obcy pozbawił go co najmniej kilku zębów, a z każdym słowem, po jego brodzie spływała krwawa ślina.

— Pod kamienicą pusto. Nikt się nie dobijał!

— Całe szczęście.

— Powinien obejrzeć cię lekarz.

— Zwariowałaś?

— Nie mówię o wzywaniu pogotowia, tylko Tomasza. To przecież mój brat, możemy mu zaufać.

— Wykluczone.

— Jesteś cały zakrwawiony! Oddech masz nieregularny i przekrwione oko... — Rozplakała się histerycznie, ale gdy tylko spróbował ją objąć, zacisnęła palce na jego strzaskanej dłoni.

— Już po wszystkim — szepnęła pokrzepiająco. — Uspokój się. Mam nadzieję, że ten gnój nic ci nie zrobił?

— Chyba nie — odparła niepewnie, wspominając dotyk intruza na krągłości brzucha i jego słowa, wzbudzające kolejne wątpliwości. — Nie skrzywdził mnie fizycznie, ale myślisz, że mówił prawdę, o tym, że dzieci jest dwoje?

— Zrozumiałaś, co mówił?!

— Dlaczego miałam nie zrozumieć?

— Przecież mówić w obcym języku.

— Nie mówił w obcym języku ... — zawahała się, lecz po krótkiej analizie nakryła usta palcami. — Boże, masz rację. Rozumiałam jego słowa jakby przez osłuchanie.

— Co jest grane? — Spojrzał zdezorientowany. — Skąd znasz ten język?

— Nie mam pojęcia! Myślisz, że mnie to nie przeraża?

— Co ci powiedział?

— Że w brzuchu mam bliźnięta i że jedno z nich jest hybrydą.

— Hybrydą? Co to kurwa znaczy?

— Skąd mam wiedzieć!? — wrzasnęła. — Nie patrz tak na mnie!

— Niby jak?

Pochodzenie Basi tkwiło w ich świadomości niczym wieczna zadra. Nikt poza Ernestem i Tomaszem nie znał kluczowych faktów na temat jej przeszłości. Była sierotą, dzieckiem tułającym się po ulicach powojennego Gdańska, które pod swe skrzydła przygarnęły siostry zakonne. Nie pamiętała swoich rodziców, krewnych, ani daty urodzenia. Nigdy nie chorowała, nie krwawiła, a wszelkie urazy goiły się u niej w zastraszającym tempie. Wzbudzała skrajne, rozbieżne emocje, uznawana za błogosławioną albo przeklętą. Gdyby nie adopcja przez inteligentką rodzinę Raczewskich, prędzej czy później wylądowałaby na bruku.

— Patrzysz na mnie, jakbyś łączył tego stwora z moim pochodzeniem i moimi dziwactwami, jakbyś wierzył, że mam z nim coś wspólnego!

— A masz?

— Jak możesz!

— Wybacz, że nasuwa mi się skojarzenie, skoro on pojawia się znikąd, ty jesteś sierotą i oboje porozumiewacie się w nieznanym języku.

W pierwszej chwili Basią targnął gniew, który szybko ustąpił pod naporem zwątpienia.

— Mógł coś wiedzieć o moim pochodzeniu ...

— Nie tylko o pochodzeniu. Wiedział dokładnie gdzie cię znaleźć.

— On wygląda jak ...

— ... nie z tego świata, jak pieprzony kosmita.

Basia zacisnęła palce na podrygującym brzuchu.

— Dzieci strasznie kopią.

— Dzieci? Tak na słowo mu uwierzyłaś?

— Oczywiście, że nie, ale trzeba to sprawdzić. — Przymknęła powieki i oparła głowę o ścianę, zastanawiając się, jak Tomek mógł przegapić ciężą mnogą. Potem spojrzała na ciało intruza, posyłając Ernestowi porozumiewawcze spojrzenie.

— Ani się waż — zaoponował, gdy podniosła się niezdarnie z zamiarem przeszukania nieboszczyka.

— Przecież jest martwy.

— Ani się waż! — Zerwał się z miejsca i odprowadził żonę na bok. Potem dokuśtykał do intruza, wymierzając w ciało solidnego kopniaka. Ani drgnęło. Upewnił się, że delikwent nie oddycha, po czym przyjrzał się dziwnej twarzy z masywnym nosem i wąskimi ustami. Przeszukał mundur, nie znajdując ani portfela, ani dokumentów. W salonie pozostał jednak

harpun, a w sakwach intruza mogły znajdować się ciekawe znaleziska. Gdy Ernest zabrał się za przetrząsanie poszczególnych kieszonek, Basia uporczywie zaglądała mu przez ramię.

— Coś taka narwana? — Miał chęć odtrącić jej wścibskie dłonie.

— Tam mogą być informacje o mnie!

— Albo bomba lub coś trującego! — Rozumiał jej punkt widzenia, ale ból przytępił wyrozumiałość. Jeden po drugim zaczął wydobywać przedmioty przypominające rekwizyty z filmu kostiumowego, skórzany bukłak, ochłap suszonego mięsa, zakorkowaną fiolkę z zielonkawą substancją, drewniane pudełko z suszonymi ziołami, fajkę oraz granatowy kamień z mieniącą się substancji.

— Tylko tyle? — Westchnęła rozczarowana. — Liczyłam na coś więcej.

— Na list z wyjaśnieniami?

— Nie bądź złośliwy.

— Też liczyłem, na coś więcej — przyznał polubownie. — Na wytrych albo klucz uniwersalny, który wyjaśniłby, jak ten gnój wszedł do naszego mieszkania.

— Na pewno przez jakiś portal.

— Tak po prostu, przez portal? — Spojrzał na nią z politowaniem, próbując zachować resztki zdrowego rozsądku, a ten podpowiadał, że najbardziej nagłym problemem było uprzątnięcie ciała oraz mieszkania i zabezpieczenie się przed potencjalnym atakiem kolejnych dziwadł. Ze zwłokami mógł pomóc Marek, z drugim kłopotem, jedynie przeprowadzka. Ogarnięcie sytuacji wymagało wysiłku oraz planowania.

— Nie odpływaj na miłość boską, bo zadzwonię po Tomasza! — Kuksaniec wyrwał go z gorączkowego natłoku myśli.

— Próbuję ogarnąć ten bajzel!

— Dla mnie najważniejsze jest sprawdzenie, co z dziećmi i czy naprawdę jest ich dwoje.

— Poprosimy twojego brata, jest pieprzonym ginekologiem.

— I powiemy mu prawdę?

— Oczywiście, że nie. Nikt poza Markiem, nie może dowiedzieć się o zwłokach. — Ernest miał nadzieję, że Sokolski za odpowiednią opłatą podzieli jego brzemię. Ostatecznie druhami byli od lat. Razem przetrwali służbę wojskową, niejednokrotnie karani za niesubordynację i naganną postawę obywatelską. Wspólnie wstąpili w szeregi gangu szmuglerskiego, handlując wodą, narkotykami i towarami zza żelaznej kurtyny. Podobne doświadczenia spajały ludzi na długie lata, a nierzadko i do grobowej deski. — Spotkasz się z Tomkiem, powiesz, że się pokłóciliśmy i przez jakiś czas u niego zostaniesz, dopóki nie pozbędę się trupa i po nim nie posprzątam.

Basia nie dyskutowała. Przewyciężenie uporu Ernesta stanowiło nie lada wyczyn, a ona nie miała ochoty na dalsze pomieszkiwanie w miejscu krwawej masakry.

— Co zrobisz z jego rzeczami?

— Jeszcze nie wiem.

— A co z mieszkaniem?

— Sprzedamy. Zamelduję nas w hotelu robotniczym, dopóki nie znajdziemy czegoś nowego. Może na Śląsku?

— To na drugim końcu kraju!

— Im dalej, tym lepiej.

— I co tam będziemy robić, skoro wszystkie sprawy mamy tutaj?

— Założę spółkę pośredniczącą w handlu węglem. — Od dawna nosił się z tym zamiarem, mając dosyć narażania skóry za marny procent w gangsterskiej hierarchii. Ostatecznie sprytu miał sporo, a inteligencja nie szwankowała. — Zarządy kopalń są skorumpowane. Za dobrze rozlokowane łapówki będę w stanie sprzedawać kiepski węgiel po zakłamanym cenie.

— A jak się wkręcisz w biznes? Nikogo tam nie znamy.

— Pamiętasz Jureckiego? Tego Ślązaka, który spieprzał przed wyrokiem i ostatecznie wyjechał do Szwecji?

Basia wzruszyła ramionami, nie nadążając za ksywkami kolegów z gangu.

— Jego kuzyn działał w branży. Zamierzam się z nim skontaktować.

— Skąd wiesz, że cię nie sypnie?

— Pewności nie mam, ale zakładam, że swój pozna swego.

— Dużo ryzykujemy — stwierdziła niechętnie, czułym gestem gładząc napiętą skórę brzucha.

— Wiem, że masz wrodzoną smykałkę do mnożenia brudnej forsy, ale ze struktur gangu nikt po dobroci nie odchodzi. Będą się bali, że zaczniemy sypać.

— Wykupimy się.

— Niby jak?

— Oszczędności plus kasa za sprzedaż mieszkania powinny wystarczyć. W ostateczności poprosimy twojego brata o pożyczkę.

— Nie chcę narażać Tomasza.

— Zrobimy, co będzie konieczne!

ROZDZIAŁ I

2018 rok

1.

Nie był pewien, czy zbudziło go brzęczenie telefonu, czy kłótnia sąsiadów i dziecięce wrzaski, przeplecione wianuszkami inwektyw. Częste awantury były ciemną stroną zamieszkiwania w kiepskiej dzielnicy, ale minimalista pokroju Pawła dostrzegał przede wszystkim plusy, taniochę utrzymania i maksimum dyskrecji. Nikt nie zwracał uwagi na towarzystwo, w jakim się obracał, a okazjonalna hojność względem lokalnych pijaczków gwarantowała milczenie w razie policyjnej interwencji.

Po klatce schodowej poniósł się tętent ciężkich buciorów i upasiony dziesięciolatek, załomotał w drzwi Zakrzewskiego. Na skutek zmiksowania dość fatalnych genów, nie było to dziecko, ani bystre, ani urodziwe.

— Czego?

— Mogę wejść? — Chłopiec o ksenofilskim imieniu Robin, przecisnął się pod ramieniem Pawła, nim ten zdążył zaprotestować. Zakrzewski powstrzymał go gwałtownym chwytem za kołnierz.

— Gdzie leziesz?

— Chciałem sobie usiąść.

— Stój gdzie stoisz, bo nogi z dupy powyrywam. Po co cię przywiało? — Papieros dopomógł Pawłowi w zachowaniu względnej cierpliwości. Młody działał mu na nerwy całym swym jestestwem, od piskliwego głosiku poczynając, na wścibstwie kończąc. Naiwny aż do bólu, namolny niczym komar, bronił się jedynie faktem, iż „wychowywała” go para patoli. Gdyby nie to, Paweł wywaliłby go za drzwi.

— Nie słyszysz? — Robin zaskomlał dramatycznie. — Tata bije mamę!

— Żeby to pierwszy raz.

— Pierwszy raz tak mocno!

— Zdajesz sobie sprawę, że to nie twój ojciec?

— Ale mama mówiła ...

— Twoja matka ma każde dziecko z innym chłopem, a ty ewidentnie przypominasz Ryśka z Karpińskiej.

— Na pewno nie Ryśka! — Młody zacisnął dłonie w pięści. Wspomniany Ryszard był kimś w rodzaju lokalnej czarnej owcy, co zważywszy na „elitarność” osiedla, wiele mówiło o jego osobie.

— Dobra, wyluzuj. Mam gdzieś, kto jest twoim ojcem.

— A pomożesz mi?

— Niby jak?

— Chcę, żebyś go zabił.

— Ryśka?

— Nie Ryśka! Tatę!

Paweł uniósł brwi, zaskoczony żądaniem dziesięciolatka, który zacisnął usta w podkówkę, sygnalizując, iż lada moment może dojść do rozlewu łez.

— Skąd ci przyszło do głowy, że mógłbym kogoś zabić?

— Połamałeś rękę Cegle!

— Po pierwsze ... — Paweł wyliczył na placach. — Cegła napadł na mnie i chciał mi buchnąć motocykl. Po drugie, złamanie komuś ręki dalece odbiega od morderstwa. Nie widzisz różnicy?

— Widzę, ale skoro z Cegłą dałeś sobie radę, to z tatą też sobie dasz.

— Cegła nie jest wyznacznikiem dawania sobie rady z czymkolwiek! To kawał napompowanego sterydami debila, który co kilka miesięcy wraca do pierdła z powodu nieudolnych kradzieży.

— Uważam, że Cegła jest straszny. Wszystkie dzieciaki się go boją.

— Może dlatego, że jest ekstremalnie brzydki?

Robin parsknął śmiechem, który po chwili ustąpił miejsca pożałowania godnej powadze.

— Wiem, że jesteś z mafii — szepnął konspiracyjnie.

Fakt, iż średnio rozgarnięty smarkacz rozszyfrował jego profesję, nie najlepiej świadczył o dyskrecji Zakrzewskiego. Szanujący się kryminalista być może wzięłby to do siebie, jednak Paweł był trochę gangsterem z przypadku. Jego kariera w wątpliwej branży została z góry zaplanowana, gdyż w dzieciństwie naoglądał się zbyt wielu podejrzanych typów, z kontrolą skarbową włącznie. Od kiedy sięgał pamięcią, ojciec prowadził nielegalne interesy, pod płaszczykiem biznesmena przemycając broń i narkotyki. Paweł próbował wyrwać się ze szponów Dona, lecz brzemień domniemanej choroby psychicznej skutecznie pogrzebało szansę na autonomię.

— Skąd ci przyszło do głowy, że pracuję dla mafii?

— Masz motor.

— Mam motor?

Chłopak przytaknął, jakby stanowiło to oczywistą oczywistość.

— Poza tym, jak wyjaśnić fakt, że mieszkasz w naszej dzielnicy?

— A bo ja wiem. Może nie stać mnie na nic lepszego?

— Widać, że jesteś przy kasie, a nikt normalny przy kasie nie chciałby tutaj mieszkać.

— Widać, że jestem przy kasie? Niby, po czym? — Paweł ubierał się w przypadkowe ciuchy i jeździł osiemnastoletnim suvem ze wgniecionymi drzwiami. Motor, o którym wspominał Robin, był używką, kupioną w przypiływie chwili za siedem kafli. Nawet gdy *drugi* odstawił ciało do jego mieszkania, miał na tyle przyzwoitości, by nie wozić się w garniturach od Armaniego.

— Nie chodzisz do mopsu, nie pożyczasz kasy, a masz zawsze na fajki i piwo.

— Zdajesz sobie sprawę, że pozwolenie sobie na fajki i piwo to nie szczyt możliwości finansowych mafiosów?

— Mieszkasz w tej dziurze, mimo że nie jesteś pijakiem ani awanturnikiem! No i jesteś cool.

— Łał, dzięki. — Paweł wywrócił oczami. — I po tym wszystkim wywnioskowałeś, że jestem z mafii?

— Jeszcze po twoich kolegach. Mają tatuaże i wyglądają na groźnych.

— A ja nie?

Robin zmarszczył nos i przecząco pokręcił głową.

— Okay, zaczynasz mnie wkurzać.

— Jak byś zabił tatę, zyskałbyś sto punktów do bycia groźnym!

— Nikogo nie będę mordował. Wybij to sobie ... — wypowiedź przerwał wrzask, który rozległ się nad ich głowami. W jego następstwie na dobre rozdarło się najmłodsze rodzeństwo Robina, którego nie zgarnęli jeszcze wysłannicy opieki społecznej. Paweł spojrział ukradkiem na dziesięciolatka i z westchnieniem rezygnacji postanowił interweniować. Wyrzucił niedopałek i wkroczył na skrzypiące schody.

— Zabijesz go? — Robin zapytał podekscytowany, lecz spiorunowany wzrokiem przez Zakrzewskiego wycofał się do mieszkania.

Paweł nie czuł się mocarnie w bokserkach i ufajdanym podkoszulku, jednak przy wroście metra dziewięćdziesiąt górował nad większością osiedlowych meneli. Załomotał w drzwi awanturników, zmuszając sąsiada do wychylenia nalanej gęby.

— Co jest, kurwa? Popierdoliło cię?! — Odór gorzały z jego ust mógł powalić żrebię.

— Może byście się uspokoili? Jest piękny dzień, słońeczko świeci, ptaszki śpiewają, a wy drzecie mordy na całe osiedle.

— I co ci kurwa do tego?

Paweł nie łudził się, iż promile w krwi sąsiada umożliwią pokojową konwersację. Westchnął ciężko i napiął barki, aby na wstępie zniechęcić byczka do natarcia.

— To mi do tego, że dziecko płacze, a każdy normalny człowiek interesuje się żalonym kwileniem własnej pociechy.

— Jakie kurwa kwilenie? — W przekrwionych oczach mężczyzny jaśniała dezorientacja. — Beczy, jak beczy. Zesrała się, to beczy. Nic jej nie jest, weź się, odpierdol.

— Chciałbym się upewnić, jeśli można.

Upłynęła dłuższa chwila, nim sens słów Pawła pokonał alkoholową fosę wokół wątego mózgowia, po czym sąsiad wściekł się jeszcze bardziej.

— Nie można, kurwa. Wypierdalaj!

— Nalegam.

Spowolniony refleks opoja ułatwił Pawłowi uchylene się przed ciosem oraz solidny kontratak. Sąsiad dostał w pysk i padł na dupsko, umożliwiając Zakrzewskiemu wejście do mieszkania, wypełnionego odorem dymu i gorzelnianych oparów. Jego własne lokum nie wyglądało nawet w połowie tak koszmarnie, mimo iż wielokrotnie zarzucano mu mieszkanie w melinie. Brudne linoleum i spleśniała boazeria dowodziły, iż priorytetem mieszkańców nie był ani komfort, ani przeciętna jakość życia. Ziejąca z każdego kąta bieda stanowiła tragedię klujących się tutaj pokoleń. Marszcząc brwi z niesmakiem, Paweł spojrzął na mamusię Robina, której woda wykradła co najmniej dziesięć lat z życiorysu. Kobieta niemrawo przytrzymała się framugi, zaszklonymi oczami próbując ogarnąć sytuację. Gdyby na kilometr nie zionęła gorzałą, jej chybotanie przypisałby ewidentnym śladom pobicia.

— Coś mu zrobił? — wyjęczała nietrzeźwo, wzbudzając w Zakrzewskim głęboką odrazę. Zamiast wrzeszczącym dzieckiem zajęła się partnerem, padając na kolana, aby pomóc mu się podnieść. Efektem była masa niezrozumiałych słów i nieudolne próby powstrzymania krwotoku ze strzaskanego nosa. Paweł wykorzystał zamieszanie, aby dotrzeć do rozpalonej od płaczu dziewczynki, uwięzionej w ufajdanym krzeselku do karmienia. Przewrócona butelka, którą popychała rączkami, była lodowata w dotyku i śmierdziała skisłym mlekiem.

— Ja pierdolę. — Wyciągnął bobasa z krzeselka, rażony odorem przeładowanej pieluchy. — Dobra mała, zakładam, że jesteś głodna? — Z nadzieją, że nie uszkodzi delikatnego kręgosłupa, przytulił dziecko do siebie, wstrzymując powietrze, aby kilkudniowy brud nie wypalił mu nozdrzy. — Zabiorę cię stąd i zaraz coś wymyślimy, ok?

Dziecko darło się coraz głośniej, więc wrócił do przedpokoju, o mały włos nie wywijając orła, gdy matka oseska chwyciła go za kostkę. Odzyskując równowagę, spojrział na nią z oburzeniem.

— Pogięło cię, głupia babo? Mogłem zmiążyć twoje dziecko.

— Oddawaj ją! — Chciała zawalczyć o pociechę, ale nie była w stanie podnieść się z podłoga, na które w międzyczasie zdążyła zwymiotować. — Nie zabieraj jej!

— Trzeba było ją nakarmić, wiedźmo!

— Nie możesz jej zabrać! Zadzwoń na policję!

— Proszę bardzo. — Paweł był pewien, że wykonanie telefonu alarmowego przekraczało w tej chwili jej możliwości manualne. — Tylko pamiętaj, że przyjadą z alkوماتem, a to oznacza miejscówkę w izbie wytrzeźwień.

— Skurwysynu!

— Pięknie okazuje pani wdzięczność.

— Skurwysyn! Złodziej pierdolony! — darła się niewybrednie, gdy pokonywał drogę powrotną do mieszkania, a gdy tylko przekroczył próg, Robin zasypał go pytaniami. I co? I jak? Co teraz?

— Trzymaj smrodka. — Wepchnął dziecko w jego ręce, po czym zlustrował rozgardiasz na zapuszczonym kredensie. Mimo oczywistego bałaganu wciąż daleko mu było do poziomu patologicznych sąsiadów. Zgarnął ze stołu brudne naczynia i nakrył blat czystym ręcznikiem.

— Kładź ją — nakazał, przygotowując się mentalnie na odór dziecięcych fekaliów. Po ściągnięciu pieluchy jego oczom ukazała się dantejska sceneria odparzonego tyłka z otwartymi ranami. — Ja pierdolę, z tego może rozwinąć się sepsa.

— Co?

— Sepsa. Ogólnoustrojowe zakażenie — wyartykułował Robinowi, który z obrzydzeniem marszczył nos z powodu pieluchy, która trafiła w jego ręce. — No co tak stoisz? Wywał to do kosza.

Chłopiec wykonał polecenie, dławiąc się wstrzymywanymi wymiotami, podczas gdy Paweł próbował ulżyć w cierpieniu wrzeszczącemu dziecku. Ostatecznie chwycił je pod pachy i zaniósł do łazienki, przez dobrych kilka minut szorując pod ciepłą bieżącą wodą. Po osuszeniu ręcznikiem skóra dziewczynki wyglądała niczym przepuszczona przez tarkę. Głównując gorączkowo, Paweł przywołał do siebie Robina.

— Dam ci kasę. Idź do apteki po krem na odparzenia i pieluchy. — Zlokalizował kurtkę, w której zazwyczaj nosił portfel. Mile zaskoczony, że Robin jeszcze go nie okradł, wyjął 200 złotych i wepchnął w jego ręce. — Kup też mleko dla bobasów i jakąś butelkę.

Rozochocony dzieciak wcisnął banknot do kieszeni.

— I weź rachunek!

— Mogę coś sobie kupić?

— Batonik, ale dopiero jak kupisz wszystko, co ci kazałem. Twoja siostra jest priorytetem, kapujesz?

— Tak jest kapitanie!

— No to już cię nie widzę. Nie wracaj z pustymi rękami.

Zamykając za smarkaczem, uświadomił sobie, że dziewczynka przestała płakać. Postękiwała jednak żałośnie i przewencyjnie postanowił odwrócić jej uwagę od pustego żołądka. Zawiniętą w ręcznik położył na kanapie i wcisnął jej w rączki figurkę z gry konsolowej. Potem oddzwonił do ojca, który pozostawił mu piętnaście nieodebranych połączeń.

— Do kurwy nędzy, dlaczego nie odbierasz? — Ernest tradycyjnie pominął zwroty grzecznościowe.

— Byłem zajęty.

— Czym zajęty?

— To długa historia.

— Nie wpakowałeś się chyba w jakieś kłopoty?

— Ależ skąd. — Paweł zerknął na dziecko. — A ty czego tak wydzwaniasz? Stało się coś?

— Tak, kurwa. Stało się, ale to nie jest rozmowa na telefon.

— Żartujesz? To po chuj do mnie dzwonicz?

— Jak Boga kocham, nie ręczę za siebie!

— Nie sądzę, aby Stwórca chciał mieć z tobą do czynienia. — Paweł oddalił się od dziecka, zapalając papierosa. — Ale spoko, luz. Nie denerwuj się, bo ci pompa strzeli. Gdzie mam się zjawić?

— Przyjedź do mnie.

— Teraz nie mogę.

— Nie teraz. O 17.

— Jesteś pewien, że do ciebie?

— Tak, kurwa, jestem pewien.

— Mam odwiedzić miejsce, którego z zasady unikam? — Nieprzyjemny dreszcz przemknął mu po grzbiecie.

— Nagły wypadek.

— Powiedz coś więcej.

— Dowiesz się na miejscu.

— Po cholere tę tajemniczość?

— Dowiesz się na miejscu. Czekam o 17. — Ojciec przerwał połączenie, pozostawiając Pawła na pastwę irytacji, która szybko przeobraziła się w dotkliwie burczenie brzucha. Ekspresowy metabolizm od dziecka zmuszał go do pochłaniania góry żarcia, co znacząco odbijało się na jakości jego diety. Byle dużo i niezbyt drogo. Bułki, mrożonki, batony, wędliny, w przeważającej mierze gotowce lub fast-foody nabywane w popularnych jadłodajniach. Od święta szejki białkowe, na co dzień zastępowane piwem (albo pięcioma). Odgrzał w mikrofalówce mrożoną pizzę XXL, lecz przed konsumpcją powstrzymało go spojrzenie na głodującego bobasa, który desperacko ciamkał plastikową głowę.

— Okay, wygrałaś. Nie będę ci robił smaka — poinformował dziewczynkę, czas do powrotu Robina zabijając standardowymi czynnościami. Ubrał się, umył zęby, a nawet przeczesał niedbale włosy i gęstą brodę.

Dziesięcioletek wrócił po czterdziestu minutach z gębą udekorowaną czekoladowym wąsem.

— Jakaś reszta?

Zaprzeczył energicznie, informując bezczelnie, że zgubił paragon. W ramach kary za obżarstwo Paweł kazał mu czytać na głos instrukcje sporządzania mleka dla bobasów, którą chłopak dukał żałośnie, aż żal dupę ścisnął. O ile w ogóle regularnie chodził do szkoły, z pewnością orłem w niej nie był. Nie przeszkodziło im to jednak w przygotowaniu ciepłej porcji odżywczego mleka, do którego bobas przysłał się niczym wygłodniałe zwierzę.

— Czy to dziecko w ogóle coś jadło?

Robin namyślił się z gębą pełną pizzy.

— Mama dbała o nią, jak nie była po piwku.

— A jak często była po piwku?

— Dostyc często.

Gdy dziewczynka wciągnęła mleko, zaczęła domagać się dokładki, jednak z obawy o skręt małych kiszek Paweł pozostał nieugięty. Nakazał Robinowi nosić siostrę do odbicia, samemu zapychając żołądek resztkami pizzy.

— Możemy tutaj zostać?

— Wykluczone. Nie chcę trafić do pierdła za przetrzymywanie obcych pociech, nawet jeżeli wasi rodzice są żywą antyreklamą państwowego wsparcia socjalnego. Zabiorę twoją siostrę do najbliższego mopsu.

— Tylko nie to — Robin zaskomlał żałośnie. — Dadzą ją do rodziny zastępczej, a nie ma nic gorszego.

— Skąd wiesz?

— Bo wiem.

— Byłeś kiedyś w rodzinie zastępczej?

Robin zaprzeczył, ale jego bojowa mina sugerowała, że i tak wie lepiej. Paweł oszczędził sobie dyskusji na rzecz pozbycia się problemu, o który wcale się nie prosił. Dziecięcy tyłek został przyodziały w świeżą pieluchę, lecz z konieczności powrócił w śmierdzące śpiochy.

— Zbieramy się.

— Ale ...

— Żadnego „ale”.

— Nikomu nie powiemy, że nas przygarnąłeś.

— Bez dyskusji!

Robin tupnął nogą, ryknął wściekle, po czym ze spuszczoną głową skapitulował i przez całą drogę do mopsu żałośnie pochlipywał. Na szczęście trasa była krótka i po niespełna dwudziestu minutach cała trójka doczłapała pod budynek oblegany przez korowód petentów.

— Zostań tutaj.

Robin podparł wolny kawałek ściany.

— Jak wyjdę z gabinetu, masz tu na mnie czekać. Zrozumiano?

Przytaknął niechętnie, podczas gdy Paweł ruszył wzdłuż kolejki, puszczając mimo uszu protesty oczekujących. Gdy dotarł do obleganych drzwi, bez pukania wszedł do środka.

— Dzień Dobry — rzucił do leciwej dyrektorki, jej męskiego interesanta oraz dwóch młodszych pracownic, okupujących biurka po bokach. Nim kobieta zdążyła zareagować, drzwi otworzyły się ponownie, ukazując zeżloną twarz jednego z petentów.

— Ten pan się wcisnął w kolejkę!

— Nie widzisz człowieka, że mam dziecko na rękach? — Zakrzewski napał na mężczyznę z bojowym wyrazem twarzy, który ostudził pretensje wątlego jegomościa. — Wracaj na korytarz jak dobry samarytanin i pamiętaj, że karma wraca.

— Proszę o spokój! — Dyrektorka zmarszczyła brwi podkreślone henną. — Panowie wychodzą, pan z dzieckiem zostaje. — Nakazała awanturnikowi z kolejki oraz mężczyźnie, którego kartoteką się właśnie zajmowała. Musiała cieszyć się posłuchem, gdyż obaj bez szemrania opuścili pomieszczenie. Paweł obdarzył ją uśmiechem, który skostniał w starciu z jej lodowatym obliczem.

— O co chodzi? — Szorstki ton podkreślał, iż nie pochwała rozegranej dramy.

— Proszę spojrzeć na to dziecko. Jest głodne, brudne i ... — Paweł podszedł do biurka i bezceremonialnie położył na nim dziewczynkę. Ignorując protesty kobiet, rozkleił pieluchę, aby mogły ujrzeć powagę sytuacji.— Niech się panie cieszą, że nie widziały tego przed

szorowaniem i kremowaniem. Ja nie wiem, czy to dziecko kiedykolwiek usiądzie jak człowiek.

— To pana dziecko?

— Zwariowała pani? Mam się obrazić? — Posłał dziewczynce przepraszające spojrzenie. — Nie, żebym nie chciał mieć takiego pączuszka, po prostu w życiu nie doprowadziłbym dziecka do takiego stanu.

— Więc czyje to dziecko? — Dyrektorka spytała zaalarmowana, jednak w sympatyzujących uśmiechach młodszych pracownic, Paweł odczuł mentalne wsparcie.

— Moich sąsiadów. Powinniście ich znać. To banda alkusów, którzy wiszą na cycku mopsu.

— Proszę nie wysnuwać pochopnych wniosków. I proszę zabrać dziecko ze stołu!

Zakrzewski nie musiał się wysilać, gdyż jedna z kobiet zakleiła pieluszkę i przytuliła kwilącą dziewczynkę, której niefortunnie przypomniano, że ma zmasakrowany tyłek.

— Niech pan siada! — Skojarzyła się Pawłowi z bezwzględną Panią Izińską, guwernantką wynajętą przez ojca, która nie najlepiej znosiła zajęcia z uczniem cierpiącym na rozdwojenie jaźni, szczególnie z buntowniczą osobowością Pawła. — Proszę dokładnie przedstawić okoliczności odebrania dziecka sąsiadom. Wtargnął pan do ich domu?

— Nie użyłbym takiego określenia. — Zakrzewski puścił oko do jednej z kobiet, której uśmiech i zaczerwienione policzki świadczyły o pozytywnym zainteresowaniu. Chrząknięcie dyrektorki przywołało wszystkich do porządku. — Zapukałem, dałem w pysk sąsiadowi i zabrałem dziecko. Musiałem je w domu doszorować i nakarmić.

— Czym je pan nakarmił?

— Na szczęście miałem mrożoną pizzę w zamrażalniku.

Kobiety spojrzały ze zgrozą, wyrywając z Pawła głośne parsknięcia.

— Żartuję. Dałem jej Babilon.

— Babilon?

— Mleko w puszcze dla dzieci.

— Zabrał pan od rodziny?

— Nie, wysłałem do apteki Robina.

— Słucham?

— Robin to starszy brat tego brzdąca. To jego prawdziwe imię. Niestety.

— Dobrze zna pan tego chłopca?

— Z widzenia. Mieszkamy w jednym bloku i od czasu do czasu pozwalam mu irytować mnie rozmową. Dzisiaj rano przybiegł do mnie, prosząc o interwencję.

— Dlaczego nie zadzwonił pan na policję?

— Jestem z tych, którzy najpierw działają, a potem dzwonią po wsparcie.

— Nie jest to godne pochwały.

Paweł wzruszył ramionami, nie łudząc się, że uda mu się uniknąć rozmowy z mundurowymi. Ernest dostałby kurwicy, gdyby dowiedział się, że jego syn dobrowolnie wdepnął w przesłuchanie. Na szczęście Zakrzewski był pewien, że w zaistniałych okolicznościach nie grożą mu żadne oskarżenia. Działał z pobudek altruistycznych, kierując się dobrem dziecka. Nawet jeżeli funkcjonariusze uparliby się, aby go wylegitymować, z powodzeniem mógł posłużyć się fałszywymi dokumentami.

— Czy chłopiec przyszedł z panem?

— Tak. Boczy się na korytarzu, więc nie zapomnijcie zgarnąć go razem z tą królowną.

— Niepotrzebnie skomplikował pan procedurę.

— Ale skróciłem cierpienie dziecka. Odratowałem pupę i nakarmiłem pusty brzusek.

— Cudownie z pana strony, ale i tak będziemy musieli wezwać policję, sprawdzić stan rodziców i przekazać gdzieś dzieci.

— Najlepiej permanentnie. Z tych ludzi nie będzie nic dobrego.

— Pozwoli pan, że oceniam to odpowiednio służby.

— Odpowiednie służby nie najlepiej wywiązują się ze swoich obowiązków. Patologia szerzy się w zastraszającym tempie i wydaje mi się, że przymusowa sterylizacja byłaby tańsza od utrzymywania bezużytecznej bandy urzędników.

— Nikt się pana nie pyta o zdanie. — Kobieta westchnęła z irytacją na myśl o papierkowej robocie, która spadła na nią z winy Zakrzewskiego. Paweł zostawił dzieci pod jej opieką i zapewnił, że poczeka na przyjazd policji, aby zdać relację ze swoich bohaterskich czynów.

2.

Po opuszczeniu gabinetu oczywiście się ulotnił, zamieniając budynek mopsu na willowe osiedle „Pod Jesionami”. Zaparkował pod wznoszoną w bólach hacjendą Państwa Sarżyńskich, której projekt budowlany opiewał na dwie bańki. Nikt w najbliższej okolicy nie posiadał podobnego przybytku, co świadczyło na korzyść inteligencji regionalnej populacji. Paweł oceniał kontrowersyjną inwestycję, jako wybitnie przykre marnotrawstwo, co nie przeszkadzało mu w wysłuchiowaniu trajkotania Sarżyńskiej. Emilia była najbardziej unikatową kobietą, jaką poznał w życiu. Mimo całej masy paskudnych cech, od zmanierowania po próżność i zaawansowany konsumpcjonizm, emanował z niej niezwykle optymizm i otwartość, niczym u dziecka niemającego pojęcia o parszywych odcieniach egzystencji. Była przy tym niezwykle urodziwa, kochliwa i niespotykanie tolerancyjna, oraz

w przeciwieństwie do swojego męża lubiła, gdy Paweł wpadał z wizytą. Ich relacja ewoluowała w bardzo powierzchowną przyjaźń. Emilia okazjonalnie sypiała z Zakrzewskim, traktując go jak bezpańskiego szczeniaka, zaszczutego z powodu problematycznej orientacji seksualnej. Dokarmiła go i rozpieszczała, a on bezkarnie korzystał z oferowanych możliwości, jednocześnie fundując Emilii to, czego nie mogła wyegzekwować od męża — seks na oczach ciekawskich budowlańców. Zaspokajanie jej ekshibicjonistycznych potrzeb, nie gryzło się bynajmniej z jego poczuciem przyzwoitości.

Wysiadł z suwa i z papierosem w ustach czekał, aż pan na włościach wybierze się do pracy. Jak na grubą rybę przystało, Sarżyński wychodził dopiero przed południem, po porannym joggingu, bzykanku z żoną i koktajlu białkowym o zbilansowanej zawartości witamin i minerałów. Cały dzień przesiadywał na dupie w przeszklonym biurówcu, aby o dziewiętnastej odbyć rekreacyjną partyjkę squasha w modnym klubie fitness. Zapamiętanie planu dnia Areczka ułatwiało Pawłowi interakcje z jego żoną. Zakrzewski wiedział, że walizka, którą tego dnia Sarżyński włókł za sobą, oznaczała delegację zagraniczną i gdyby jego tydzień nie dobiegał końca, czekałoby go królewskie rozpasanie.

— Rozmawiałem już z waszym człowiekiem! — Mąż Emilii podszedł zdecydowanie za blisko, babrząc w błocie trzewiki i przyciasne nogawki.

— Spokojnie piękniśiu, bo się ubrudzisz.

— Mam czas do końca miesiąca i nie życzę sobie, aby mnie szantażowano.

— Przyjechałem zobaczyć, jak prace postępują i jak gospodarujesz naszą forsa.

— To nie wasza forsa! — Na skroni Sarżyńskiego zapulsowała żyła.

— Nasza, dopóki nie spłacisz długu.

— Spłacę i to niebawem, ale nie będę wtajemniczał w szczegóły zakutego łba twojego pokroju.

— Licz się ze słowami, jeżeli nie chcesz stracić dentystycznej porcelany.

— Myślisz, że możesz mi grozić?

— Tak właśnie myślę. — Paweł nadludzkim wysiłkiem powstrzymywał żądzę mordy, gdyż kieraszowanie pluskwy pokroju Sarżyńskiego było poniżej jego godności. — Po co mamy czekać, aż odrobisz dług na giełdzie, skoro jesteś ubezpieczony od zdarzeń losowych, w tym pobicia oraz śmierci.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— O polisie na życie, którą dostrzegłem przypadkiem w twoim gabinecie.

— Włamałeś się do mojego gabinetu?! — Sarżyński wyraźnie pobladł.

— Gdybym się włamał, chyba byś zauważył? A może się mylę?

— Nie masz prawa mi grozić. Nie tak się umawialiśmy.

— Zabezpieczam tylko swoje interesy, na wypadek, gdyby giełda splatała ci figła.

— Giełda to nie gra hazardowa. Czynniki losowe odgrywa minimalną rolę.

— Pozwól, że daruję sobie wykład. Dłuższy wyjazd? — Paweł spojrzał wymownie na walizkę Sarżyńskiego.

— Bardzo krótki. Trzymaj się z dala od mojej żony.

— Powinieneś cieszyć się, że chcę doglądać jej bezpieczeństwa.

— Jej bezpieczeństwa dogląda firma ochroniarska.

— Złożona z emerytów i rencistów?

— Z byłych wojskowych i policjantów.

— Czyli emerytów i rencistów.

Atmosferę męskiej rywalizacji przerwało pojawienie się Emilii, która olśniła otoczenie perłowym uśmiechem i perfekcyjnym ciałem, otulonym kwiecistą materią sukienki.

— Część Emi!

— Witaj Pawełku!

Wymienili uśmiechy, przesiąknięte wspomnieniami wspólnie spędzonych godzin, co Sarżyńskiego przyprawiło o kolejny wybuch wściekłości.

— Wracaj do domu! — nakazał małżonce, która niewiele robiła sobie z rozkazów. Areczek znajdował się w epicentrum jej pajęczyny, trawiony jadem toksycznej miłości. Nawet jeśli czuł podświadomie, iż kobieta doprowadzi go do ruiny, słodkie słówka i seksapil Emilii, skutecznie paraliżowały jego instynkt samozachowawczy.

— Kochanie spóźnisz się na lotnisko.

— No właśnie, Areczku, samolot nie będzie grzecznie czekał, aż sobie poujadasz. Musisz pracować pilnie, bo te wszystkie miliony same się nie splacą.

— Nie mów mi, co mam robić. Masz się, za nie wiadomo kogo ...

— Kochanie, po co te nerwy? Oprowadzę Pawełka po posesji i pokażę, jak prace postępują.

— On doskonale wie, jak wygląda cholerna posesja! Zwiedził w niej wszystkie pokoje!

— W zasadzie tylko sypialnię ... — Paweł urwał w pół zdania, powstrzymując pięść Sarżyńskiego, który pokusił się o atak. — Areczku, po co te nerwy?

— Wypierdalaj z mojego domu!

— A ty wypierdalaj wreszcie na lotnisko!

— Jak jej chociaż włoszek z głowy spadnie ...

— Nic jej z głowy nie spadnie. Za kogo ty mnie masz?

— Za bandziora!

— Nie biję dzieci ani kobiet, chyba że pierwsze zasłużą, a wśród drugich znajdą się wojujące feministki.

— Kochani, dajcie spokój, zachowujmy się na poziomie. — Emilia wydeła usta w dzióbek i chwyciła się pod boki.

Paweł posłał Sarżyńskiemu najgorsze z firmowych spojrzeń, co ostatecznie stłamsiło poryw brawury w jego sercu. Poczerwieniał na twarzy, odsuwając się o krok i nerwowym gestem poprawił poły garnituru. Cmoknął żonę w policzek i wsiadł do samochodu, ale zautomatyzowane wnętrze uniemożliwiło trzaśnięcie drzwiami. Gdy czerwone porsche zniknęło za horyzontem, Emilia westchnęła teatralnie i chwyciła Pawła pod ramię.

— Nie gniewaj się, przez stresy w pracy zachowuje się jak dupek.

— Ma zdecydowanie większe powody do stresu niż problemy w pracy. — Milionowy dług u Ernesta znajdował się u szczytu listy. — Gdzie wywiało go tym razem?

— Na delegację do Pekinu. Nie będzie go do piątku. — Uśmiechnęła się zalotnie, przypominając Pawłowi, że jego czas dobiegał końca i nie mógł skorzystać z jej frywolnego towarzystwa. — Będę tutaj samiuteńka, skazana na łaskę i nie łaskę robotników budowlanych. Przydałby się ktoś, kto trzymałby w ryzach ich nieprzyzwoite zapędy i odgrywał rolę mojego rycerza w srebrnej zbroi.

— Nie ma dla mnie nic przyjemniejszego od czuwania nad twoją cnotą, niestety ja także wybieram się na delegację.

— Straszna szkoda — Emilia posmutniała. — Kupiłam parę interesujących gadżetów w pewnym kontrowersyjnym sklepie internetowym.

— Jakich gadżetów?

— Zostań, a się dowiesz.

— Wiesz, że nie mogę. W mojej branży mus to mus.

— Trudno. Znajdę innego chętnego do przetestowania nowych nabytków.

W to akurat Paweł nie wątpił.

Weszli do wnętrza wypełnionego odgłosami wiercenia i szurania. Emilia zajęła się parzeniem kawy, wysyłając Pawła z papierosem na rozkopany trawnik. Z ogrodu Sarżyńskich rozciągał się widok na jednorodzinne bliźniaki z wychodkami szumnie nazywanymi „ogrodem”. Paweł nie mógł pojąć, dlaczego ludzie chcieli mieszkać w kolektywnych klocach, odmierzając prywatność parawanem z iglaków. Wolał już swój stary familok od bezosobowego piętna ludzkiej pazerności.

Z miejsca ogarnęły go czarne myśli. Nieubłaganie zbliżał się czas przekazania ciała *drugiemu*. Po ponad trzydziestu latach powinien był przywyknąć, jednak system wymuszonej zamiany

nigdy nie stał się dla niego czymś prozaicznym. Nazywanie tego codziennością było kurewską antynomią.

Emilia ocaliła go przed mrocznymi ścieżkami umysłu, serwując pyszną kawę, a potem aromatyczną pieczeń. Przejawiała wybitny talent kulinarny, który równoważył jej rozrzutność i skłonność do flirtowania z typami spod ciemnej gwiazdy.

— Rozpieszczasz mnie kochana.

— Ktoś musi, Pawełku. — Usiadła z gracją na jego kolanach. — W twoim zawodzie ciężko o regularne odżywianie.

— Całe szczęście, że mam ciebie. — Zanurzył nos w jej długich włosach, zaciskając palce na jędrnych pośladkach. — Niczym matka Teresa zaspokajasz moje potrzeby.

— Porównanie mnie do matki Teresy jest średnio podniecające.

— Naprawdę? — Udał zaskoczenie, usadawiając ją na blacie stołu. Pochylił się do pocałunku, który ochoczo odwzajemniła. Pachniała zupełnie nie tak, jak powinna. — Chyba muszę popracować nad świntuszeniem.

— Tylko nad tym, co wymyka się z twoich ust. Reszta świntuszenia idzie ci bez zarzutu.

— W takim razie będę milczał i skupię się na swoich mocnych stronach.

Na skupianiu się musiał poprzestać. Emilia nie dała rady rozbudzić jego żądy. Lędźwie skapitulowały pod naporem ciężkich obaw. Ani namiętne pocałunki, ani sugestywne pieszczoty nie były w stanie wyzwolić go od strachu przed spotkaniem z ojcem.

Odsunął się od Sarżyńskiej, żałośnie poprawiając spodnie.

— Przepraszam. Pójdę już.

— Paweł ...

— Wiesz, że to nie, ty, tylko ja? Całe to filmowe cliché się tutaj kwalifikuje.

— Wiem. — Uśmiechnęła się pobłażliwie. Była ucieleśnieniem męskich rozkoszy.

Jego zerowy wzwód nie był w stanie zachwiać jej pewnością siebie. Z gracją zsunęła się ze stołu, poprawiając wymiętą sukienkę.

— Nie musisz uciekać jak oparzony. Nic takiego się nie stało.

— No właśnie. Nie stało się.

— Możemy przecież porozmawiać.

— Niby o czym? — Prześmiewczo uniósł brew.

— O tym, co cię trapi. Widać, że jesteś rozkojarzony.

— Nic mnie nie trapi. Jestem lekkoduchem, pamiętasz?

— W takim razie, może kogoś poznałeś? — Jej pobłażliwy uśmiech przybrał drapieżną formę. Poklepała miejsce na kanapie, zachęcając, aby usiadł obok. — Wiesz, że możesz mi opowiedzieć, najlepiej ze szczegółami.

— Zdajesz sobie sprawę, że to nie odbywa się, jak na filmikach w sieci? — Zaoferował ramię, do którego natychmiast przylgnęła. — Wsadzanie fiuta w tyłek, wymaga więcej wysiłku, od pogmerania gdzie trzeba poślinionym palcem.

— Musisz mi psuć zabawę?

— Mówię, jak jest. Mam informacje z pierwszej ręki.

— Takie szczegóły zachowaj dla siebie. — Z niesmakiem wykrzywiła wargi. — Powiedz mi tylko, czy kogoś poznałeś?

— Nie.

— Na pewno?

— Kto nie szuka, nie znajduje.

— Nie można przypadkowo poznać geja w parku albo w kawiarni?

— W parku być może, jeżeli założymy, że jest to męski szalet odwiedzany przez okoliczne cioty. W kawiarni, pod warunkiem, że zamienimy ją na gejbar.

— To jak masz kogoś poznać?

— W Internecie znalazłby się fuckbuddy.

— Podoba mi się ta opcja! — Czułaby się, jak ryba w wodzie korzystając z aplikacji umożliwiającej anonimowe zaspokojenie potrzeb seksualnych. Dla Pawła ta forma zbliżeń była zdecydowanie zbyt wymagająca. Musiałby zalogować się, utworzyć profil, zjawić się w określonym miejscu i spełnić czyjeś oczekiwania i mimo że niejednokrotnie go kusiło, ostatecznie uznawał przewagę swojej ręki. — Próbowalesz tego?

— Nie mam nawet komputera.

— I co z tego, wszystko jest w komórce ... — zamilkła, przypominając sobie, iż Paweł posługiwał się egzemplarzem z klapką i klawiaturą numeryczną. — Na pewno otacza cię masa przystojnych facetów. Widziałam niektórych. — I flirtowała z każdym, chociaż zakazała chłopakom korzystać z jej oczywistych wdzięków. Nie robił tego z zaborczych pobudek, lecz mając wzgląd na maniery łóżkowe kolegów po fachu, niesłyszanych z poszanowania uczuć niewieścich. Jeżeli pozbawiał przy tym Emilię przyjemności, trudno, był gotów żyć z tym ciężarem.

— No dalej Paweł, na pewno jest ktoś w tej waszej mafii, kto przyprawia cię o przyspieszone bicie serca? Niebezpieczny zawód musi sprawiać, iż buzuje w was adrenalina.

— Buzuje w nas tak mocno, że za pedalską insynuację można zarobić kosę między zebra.

— O Boże, naprawdę?

— Ludzie z marginesu raczej nie słyną z tolerancji.

— Przecież jesteś tam kimś, a nie zwykłą płotką. Widziałam, że cię poważają.

— Tym bardziej nie mogę zacząć składać niemoralnych propozycji. Nie potrzebuję ...

— ... miłości?

Romantyzm Emilii mógłby go rozczulić, gdyby nie był podminowany wizją nadciągającego spotkania z ojcem. Rozmowa o uczuciach zazwyczaj go mierzyła, a szukanie miłości, czy innych pierdół tego typu, zajmowało ostatnie miejsce na liście rzeczy, które miał ochotę robić.

— Uczucia są potrzebne.

Przytaknął z powagą i błyskawicznie zmienił temat.

— Opowiedz mi lepiej, co to za dziwna konstrukcja w pobliżu basenu?

— Zrobimy tropikalną grotę! Wszyscy sąsiedzi pozielenięją z zazdrości... — Z roziskrzonym spojrzeniem zaczęła kreślić wizję ogrodowych dekoracji. Paweł za cholerę nie mógł skupić się na jej trajkotaniu, ale na szczęście doskonale czuła się w monologach inscenizowanych na dialog. Po jakimś czasie zaproponowała deser, jednak odmówił, onieśmielony jej rozochoconą miną. Tego dnia nic nie było w stanie przeobrazić go w ogiera.

— Z przykrością odmawiam. Muszę trzymać formę.

— Żartujesz? Na widok takiej formy miękną mi kolana. — Zlustrowała go bezwstydnie i dotknęła palcem brzucha, napotykając twardość wyćwiczonego „kaloryfera”. Dobrze zarysowane mięśnie nie były rzecz jasną zasługą chlania i obżarstwa Pawła, lecz regularnych ćwiczeń *tego drugiego*. Podczas gdy on wylegiwał się na kanapie albo płaszczył dupsko w samochodzie, *drugi* popierdalał na bieżni i dźwigał ciężary w getrach dla pozerów.

— Dzięki za pokrzepiające słowa, ale muszę lecieć. — Cmoknął Emilię na pożegnanie i pojechał stawić czoła przeznaczeniu.